



OŚRODEK
SPRAW
AZJATYCKICH

ARCHIWUM
MARZEC 2013 - MARZEC 2014

na temat CHIN

JOANNA KRENZ
SINOLOG

Z Chin do Polski przez Oświęcim

Na ten szkic natrafiłam przypadkowo przed dwoma laty, przeglądając pobieżnie jedną z książek zdjętych właściwie na chybił-trafił z półki ogromnej księgarni Xinhua w Wuhanie. Była to **antologia esejów chińskich pisarzy** zatytułowana „Biała chustka na placu”. Figurujące w spisie treści słowo „**Oświęcim**” natychmiast przykuło moją uwagę. Zwłaszcza że w nagłówkach kolejnych tekstów pojawiły się jeszcze „**Polska**” i „**Święto Zmarłych**”. Z dreszczykiem emocji, nie zagłębiając się w treść, pozostawiając sobie na lepszy i spokojniejszy moment rozwikłanie sekretu tego niespodziewanego „wdepnięcia” w ojczysty grunt w samym sercu Chin, włożyłam książkę do ciężkiego już koszyczka i co prędzej pobiegłam do kasy. Po powrocie do akademika pochłonęłam wszystkie trzy „polskie” eseje. Podumałam, potęskniłam i odłożyłam – zmęczona samym procesem językowego rozumienia (był to dopiero trzeci rok mojej nauki chińskiego), niezdolna już do pełnych rozumień intelektualnych. Ale tekst – przyswojony pewnie nie do końca tak, jak by należało – jednak zapadł gdzieś w pamięć. I wrócił. Wrócił, kiedy bardziej już może jestem na niego gotowa, i językowo, i myślowo. Wrócił równie niespodziewanie i w równie zaskakujących okolicznościach, w jakich zjawiał się po raz pierwszy. Wrócił niedawno, w brzydką Wielkanoc, wiosną tak samo brzydką, jak ta w nim opisana, nota bene niemal dokładnie w dwudziestą rocznicę swego powstania i zaledwie paręnaście dni przed przypadającą dziś, gdy piszę te słowa (19 kwietnia), siedemdziesiątą rocznicą powstania w warszawskim gettcie. A przy okazji jeszcze – akurat w trakcie poszukiwania przeze mnie „czegoś ciekawego” do wydania portalu poświęconego polsko-chińskiemu forum.

Tak się złożyło, że zajrzałam do kupionej przed dwoma laty antologii, licząc, że może trafię na jakiś tekst, który będę mogła wykorzystać w pracy magisterskiej. Kiedy wszakże mój wzrok ponownie padł na znajome mi już skądś tytuły, natychmiast zapomniałam o magisterskich aspiracjach i oddałam się „drugiemu czytaniu” Yi Pinga. Zaświtała mi w głowie przesadnie może górnolotna, ale jednak uporczywa dość myśl, że skoro tak długo i cierpliwie esej ów czekał w ukryciu, wciśnięty pomiędzy inne książki na moim regale, i z taką uwagą wybrał sobie moment „reepifanii” w moim życiu, uwzględniając wszelkie zbieżności w okolicznościach i datach (cóż, niestety łącznie z faktem, że jak wtedy miałam na głowie „pilny” licencjat, tak teraz powinnam skupić się na pracy magisterskiej), to widocznie ma coś ważnego do zakomunikowania i nie powinnam mu odmawiać translatorskiej przysługi, która pozwoli mu się wydostać na polskie światło dzienne, wrócić do swej kolebki, wybrzmieć w miejscu, w którym powstał.

Przy okazji postanowiłam wreszcie rozwikłać zagadkę tożsamości autora, na którego nazwisko natrafiałam od czasu do czasu, przyglądając się **chińskiemu dyskursowi dotyczącemu najnowszej historii powszechnej**, a który – zwłaszcza w rozważaniach o kwestii Holocaustu i roli pamięci w kulturze – jest jednym z częściej cytowanych w chińskich publikacjach pisarzy. Okazuje się, że **Yi Ping** (ur. 1952) przez pewien okres był wykładowcą poznańskiego uniwersytetu, obecnie zaś (od 1997 roku) mieszka w Stanach Zjednoczonych i należy do dość aktywnej **grupy chińskich artystów przebywających na emigracji**. Wiele jego tekstów można znaleźć na stronie Niezależnego Chińskiego Stowarzyszenia Pisarzy (http://blog.boxun.com/hero/yiping/1_1.shtml). Duża część z nich poświęcona jest sprawom związanym z Polską. Obok kilkudziesięciostrofowego poematu o Oświęcimiu umieszczono tam m.in. eseje poświęcone analizie sytuacji naszego kraju w okresie transformacji, w czasie rządów komunistycznych, a także roli Adama Michnika, z którym autor spotkał się w 2010 roku. Oczywiście, trudno liczyć na to, że w jakiś istotny sposób wzbogacą one naszą, Polaków, wiedzę o własnym kraju. Mimo tego, stanowią one jednak lekturę bardzo zajmującą, choćby ze względu na to, że pozwalają przekonać się, jak to geograficzne serce Europy wygląda obserwowane zza Wielkiego Muru. Mam nadzieję, że „**Wizyta w Oświęcimiu**” zachęci do dalszej lektury eseistyki zarówno Yi Pinga, jak i pozostałych „boxunowych” autorów, pośród których są m.in. noblista Liu Xiaobo czy laureat Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego Liao Yiwu.

NA TEMAT CHIN

Jak kona ikona. W 24. rocznicę śmierci Hai Zi

Ostatni tydzień marca to czas, gdy w coraz mniej skądinąd poetyckich Chinach więcej i z większymi emocjami mówi się zwykle o poezji. Momentem kulminacyjnym jest 26 marca – rocznica (w tym roku dwudziesta czwarta) samobójczej śmierci pod kołami pociągu, w okolicach nadmorskiej miejscowości Shanhaiguan, **awangardowego artysty Zha Haishenga** (查海生), znanego pod obranym przez siebie pseudonimem **Hai Zi** (海子, dosłownie: „Syn Morza”). Jego życie i za życia niedoceniana twórczość stały się, za sprawą tego dramatycznego gestu i towarzyszących mu nie mniej dramatycznych i tajemniczych socjohistorycznych okoliczności, przedmiotem legendy, jeśli nie wręcz kultu, w szerokich kręgach chińskiego społeczeństwa. On sam zaś okrzyknięty został **symbolem i wyrazicielem epoki, kapłanem, prorokiem i męczennikiem literatury**, który złożył na jej ołtarzu najwyższą, całopalną ofiarę.

Zaledwie dwa dni wcześniej, 24 marca, przypadają urodziny poety, zaś pięć dni po Hai Zi, 31 marca, zmarł na skutek wylewu krwi do mózgu jego najbliższy powiernik, a zarazem jeden z pierwszych „wyznawców” i propagatorów jego dzieła, proszony w pożegnalnym

liście o opiekę nad rękopisami, dwudziestoosmioletni Luo Yihe. Jak przekonuje ich wspólny przyjaciel Xi Chuan, śmierć ta była efektem przemęczenia pracą i tempem, jakie sobie obaj narzucili, by ocalić i uporządkować jak największą część spuścizny genialnego towarzysza.

Niezwykłą aurę wokół wydarzeń tamtej wiosny współtworzy także niewątpliwie bliskość tragedii, która niebawem miała stać się udziałem rzeszy młodych ludzi zgromadzonych na **Placu Tian'anmen**, a której pierwsze zapowiedzi widoczne były już na początku pamiętnego roku 1989. W organizację odbywających się wówczas w Pekinie strajków głodowych włączał się ofiarnie m.in. właśnie Luo Yihe, sam zresztą będący obiecującym pisarzem.

Na przełomowe znaczenie, jakie przypisuje się czynowi Hai Zi, wpłynęła wreszcie – być może najmocniej – **fala samobójstw, która przetoczyła się w następnych kilku latach przez chińskie środowiska literackie**, tak przez najbardziej elitarne kręgi, jak i przez grupy słabiej oddziałujące na kształt artystycznej sceny, skupiające głównie twórców-amatorów czy najmłodszych adeptów poezji. Sytuację tę porównuje się nieraz do epidemii samobójstw wywołanej w Europie przed ponad dwoma wiekami publikacją „Cierpień młodego Wertera” Goethego. Do najgłośniejszych przypadków, jakie miały miejsce w Chinach u początków ostatniej dekady XX stulecia, należy utopienie się w sadzawce na kampusie Uniwersytetu Qinghua awangardowego pisarza Ge Mai'a oraz poprzedzona morderstwem żony śmierć jednego z najbardziej znanych „mglistych poetów” (chińskich kontynuatorów modernizmu) Gu Chenga, który powiesił się w swoim domu w Auckland w Nowej Zelandii, dokąd wyemigrował w 1987 roku.

Niektóre spośród tych aktów miały charakter niemal rytualny – jak na przykład gest Fang Xianga, który przed połknięciem trucizny nie tylko z pasją oddawał się lekturze dzieł Hai Zi, ale odbył również pielgrzymkę do jego grobu. Xi Chuan, który przekazuje tę opowieść, powołuje się na relację ojca Hai Zi, z którym Fang rzekomo rozmawiał zanim udał się spędzić noc „przytulony” do mogiły Hai Zi. Jego ideę podjęli poniekąd – choć oczywiście nie z tak tragicznym skutkiem, a i nie aż tak poważną intencją (chodziło raczej o hołd niż obrzęd ku czci poety) – studenci Uniwersytetu Pekinńskiego, urządzając spektakularny performans, którego głównym punktem było wspólne leżenie na torach w miejscu śmierci „rodzimego Rimbauda”.

Atmosfera wzniosłości, jaka towarzyszy zwykle dyskusjom o śmierci Hai Zi, wpływa wszakże nie tylko na wizerunek, socjokulturowy obraz i diagnozę epoki czy pokolenia. Decyduje nade wszystko o **sposobach interpretacji jego osobistej biografii**, odtąd niemal zawsze – jeśli przyjrzeć się wydawanym w ogromnych ilościach opracowaniom dotyczącym poety – spisywanej „od końca”, tak, że wszystkie składające się na nią zdarzenia formują się w pozornie logiczny ciąg, zmierzający prostą drogą ku samobójczej decyzji, oraz determinuje rozumienie jego twórczości, która – na co

zwraca uwagę jeden z największych autorytetów w dziedzinie literatury chińskiej, prof. Maghiel van Crevel – niesłusznie postrzegana jest dziś jako wielka tanatografia, zapis wieloletniego procesu umierania i projektowania własnej śmierci.

Oczywiście, mit ów nie jest całkowicie pozbawiony rzeczywistych podstaw, a Hai Zi, który – jak się wydaje – ostatecznie **padł ofiarą własnej legendy**, bardziej lub mniej świadomie przyczynił się do jego kształtowania, zarówno za sprawą obranego przez siebie trybu życia, jak i ze względu na ambitny, wręcz monumentalny, projekt poetycki, wyłożony w kilku enigmatycznych esejach i konsekwentnie realizowany we własnej twórczości.

Można by rzec, że Hai Zi od najmłodszych lat miał „zadatki”, by w pełni zrealizować ów paradygmat poety romantycznego czy też modernistycznego „**poety przeklętego**”, przez pryzmat którego przeważnie się dziś jego losy przedstawia. Urodzony w 1964 roku, wychowywał się w ubogiej, wielodzietnej rodzinie, zamieszkującej w jednej z niewielkich wiosek we wschodniochińskiej prowincji Anhui. Kształcony początkowo w małej, wiejskiej szkółce, szybko okazał się wykraczać talentem i pasją poza przyjęte w niej standardy. Postrzegany był jako samorodny, wszechstronnie uzdolniony geniusz, obdarzony niebywałą pamięcią. Toteż, dzięki staraniom rodziców oraz przychylnych mu nauczycieli i urzędników, już w wieku 15 lat rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Pekinńskiego, najlepszej wówczas uczelni w kraju. Życie w stolicy, obok nowych szans i perspektyw intelektualnego rozwoju, przyniosło jednak także wiele rozczarowań i cierpień, również tych związanych z uczuciowymi porażkami i artystycznym niepowodzeniem. Przez coraz bardziej zafascynowane kulturalnymi nowinkami zachodniego postmodernizmu chińskie środowisko poetyckie pozostający w świecie wielkich mitów i symboli Hai Zi coraz częściej był lekceważony i traktowany z wyższością, jako naiwne dziecko klasycyzującej poezji sielankowo-arkadyjskiej, której tragiczny wymiar miano dostrzec – i zabsolutyzować – niebawem w kontekście jego samobójczej śmierci.

Po ukończeniu studiów, w wieku 19 lat, artysta przeniesiony został w roli wykładowcy artysta na inny wydział uczelni, znajdujący się z dala od centrum Pekinu, w dzielnicy Changping. Wyrwany z ledwie „oswojonego” środowiska, nieśmiały, z trudem nawiązujący towarzyskie kontakty, a ponadto nękany ciągłymi trudnościami finansowymi wynikającymi z poczucia obowiązku wobec żyjącej w nędzy rodziny, Hai Zi coraz głębiej pogrążał się w samotności, z niemal obsesyjnym zaangażowaniem oddając się lekturze i pisaniu. Tworzył nocami, dnie przesypiał, nie miał czasu i pieniędzy na jedzenie, pił dużo, a wolne chwile poświęcał na ćwiczenie tradycyjnych technik medytacyjnych. Cierpiał na depresję, a w ostatnich miesiącach życia zmagał się także z halucynacjami i patologicznymi symptomami, spowodowanymi prawdopodobnie obecnością w jego mózgu tętniaka. W prowadzonym w okresie pobytu w Changping dzienniku Hai Zi czytamy między innymi:

„Pragnę wraz ze stadem smoków o oczach błyszczących jak świt przemierzać dzikie przestrzenie, szybując, tańcząc w ciemności, wirując i rozsypując się w pył. Chcę się najpierw wcielić w przywódcę stada, by zaraz potem osobiście go uśmiercić, tak, aby mógł osiągnąć wyższą formę istnienia. (...) Ciemność i ja zrodzeni jesteśmy z jednej matki. Tylko że ciemność jest wieczna i zawsze wprowadza zamęt w me serce. Jest piękniejsza niż życie, jest tego życia poezją. Ten, co stwarza Słońce, musi być bratem ciemności, musi się przeistoczyć w nią samą.”

[Hai Zi, „Dziennik” (wpis z dnia 14.11.1987)]

W podobnym zresztą tonie utrzymane są powstałe wówczas eseje i autokomentarze do wierszy. Odnajdziemy w nich liczne fragmenty, które – wyrwane z kontekstu całej koncepcji, która w istocie była dość ambiwalentna i złożona, mniej patetyczna i mniej naiwna oraz bardziej zniuansowana niż mogłoby się w pierwszej chwili wydawać – **umacniają wizerunek Hai Zi jako tego, który żył poezją i którego życie było jego największym dziełem, a samobójcza śmierć jedynym godnym jego zamknięciem i dopełnieniem**. W objaśnieniu do poematu „Słońce” pisał na przykład:

„Poeta musi mieć moc, by wyswobodzić się od tłumu, by wyzwolić się z prozy. Pisanie to nie wypicie szklanki wody, nie gapienie się w Księżyc, nie czułe słówka, ani igraszki ze śmiercią. Ważne, by sobie uświadomić podskórne pęknięcia i wewnętrzną dynamikę Ziemi oraz przeciwstawną w stosunku do niej ludzką monotonię i chłodny ludzki dystans. Poeta musi mieć siłę, by się zbawić od samego siebie, bo to naród, to niebo i ziemia są jedynymi źródłami poezji, jedyną prawdziwą rzeczywistością. Zaś sercem narodu może być tylko poeta. Moje poematy niosą zbawienie!”

[Hai Zi, „Ruch” (动作)]

Sam siebie sytuował ponadto pośród „**Książąt Poezji**”, których twórczość charakteryzował następująco:

„Od czasu, kiedy ludzkość odeszła od stanu pierwotnej świadomości zbiorowej, (...) toczy się nieustanna walka między jednostkami o królewski tron poezji. Szkoda, że o sukcesie nie zawsze przesądza w niej talent. Przeważnie decyduje ślepy los, jak w tragedii – najzdolniejsi książęta giną pierwsi. Książęta, których podziwiam, tworzą długą linię: Shelley, Jesienin, Hölderlin, Poe, Rimbaud, Celan, Dylan, Schiller, aż po Puszkina. (...) Łączą ich szaleństwo, talent, czystość charakteru i tragizm losów. W istocie są oni tylko odmiennymi postaciami jednego Księcia. Różne ciała, różne teksty, różne twarze – to wszystko. Tak naprawdę jeden jest Książę, Książę Poezji, Książę Słońca. Co do tego nie mam wątpliwości. Ich dramatyczna walka i emocje same w sobie są najpotężniejszym poematem ludzkości. Ich smutna egzystencja jest kwintesencją wszelkiej poezji.”

[Hai Zi, „Poetyka – zarys” (诗学：一份提纲)]

Nie bez znaczenia dla „literackich” odczytań życia Hai Zi pozostaje zapewne i fakt, że najwięcej miejsca w plecaku, który znaleziono przy jego zwłokach obok kolejowego nasypu, zajmowały właśnie książki. W owej ostatniej drodze poecie towarzyszyły cztery dzieła: Biblia, „Walden, czyli życie w lesie” H. D. Thoreau, „Kon-tiki” T. Heyerdahla oraz wybór opowiadań J. Conrada.

Wydaje się, że sam fakt, iż ostatni literacki wybór Hai Zi bynajmniej nie pokrywał się ze składanymi przezeń deklaracjami i wcześniejszymi sympatiami, powinien wzbudzić pewne wątpliwości i doprowadzić do powstania choćby rysy na monolitycznym wizerunku poety, jaki wykształcił się w świadomości chińskich odbiorców, także tych, którzy nigdy nie mieli okazji dokładniej zapoznać się z jego twórczością. Tak się jednak póki co nie stało, przez co sytuacja poezji Hai Zi jest dziś dość paradoksalna. **Mało kto ją czyta, choć wszyscy doskonale i z góry „wiedzą, jak” trzeba to czynić – z pełnym emocjonalnym zaangażowaniem i cziłą należą bohaterom.**

Co jeszcze ciekawsze i dziwniejsze, przekonanie o wieszczym charakterze dzieł bynajmniej nie przeszkadza Chińczykom dość dowolnie je wykorzystywać w różnych obszarach życia i działalności. „Skarb narodowy” to w końcu wspólne dziedzictwo, a skoro wspólne, to każdy ma doń prawo. Toteż „skrzydlate słowa”, opuściwszy gęsto, misternie plecione gniazda wierszy „chińskiego poète maudit”, przefrunęły na karty podstawówkowych podręczników, na bileciki z życzeniami, infantylne laurki dołączane do urodzinowych prezentów, zadomowiły się w popularnych piosenkach, politycznych agitacjach, nawet w reklamach firm deweloperskich sprzedających „domki z widokiem na morze pośród rozkwitającej wiosny”, będące nota bene „ofertą” zaczerpniętą z jednego z najbardziej dramatycznych – choć chyba nie najwybitniejszych – utworów Hai Zi.

Trudno w krótkim internetowym artykule „odbrązowić” poezję Hai Zi, oddać jej głęboko liryczny i intymny charakter, jej wewnętrzne napięcia i wahania oraz dokonać rekonstrukcji jej faktycznych – nieprzesadzonych, nieprzejaskrawionych i nieprzecenionych – związków z biografią, odbudować właściwe proporcje między życiem a dziełem. Potrzeba by na to studium przynajmniej tak obszernego i wnikliwego, jak studium van Crevela, pomieszczone w jego rozprawie zatytułowanej „Chinese Poetry in Times of Mind, Mayhem and Money”. Być może lepiej i skuteczniej będzie pozwolić przemówić wierszom, licząc, że – jak prawda – obronią się same i pokładając nadzieję w „ożywczej niewiedzy” odbiorców z dalekiego kraju, którzy jeszcze nie do końca mają pojęcie, co „powinni” z owymi tekstami zrobić i wobec tego robią, co „mogą”, aby z nich wydobyć, nadszarpięte pewnie tłumaczeniem, ale przecież wciąż w nich jeszcze poza i wbrew nieprzekładalnym strukturom języka przechowywane piękno.

Dlatego też zapraszam do lektury utworów Hai Zi, których przekłady publikuję w NaTematChin w rubryce „Mocne słowa”.

Wszystkie cytaty z tekstów teoretycznych i poetyckich Hai Zi podane są w przekładzie autorki niniejszego artykułu dokonany na podstawie oryginałów zamieszczonych na stronie internetowej, na której opublikowano elektroniczną wersję pełnej edycji dzieł Hai Zi. Stronę redaguje Xi Chuan. Adres: <http://www.eywedu.com/haizi/>

Wiersze Hai Zi

wybór utworów Hai Zi w przekładzie Joanny Krenz

Jesień

Naszymi rozsypanymi po ziemi kośćmi
Wypisz na piasku: wiosna. A potem podźwignij na własnych barkach starego ojca
Czas bezkresny kierunki połamane
Strach zwierzęcy zapycha nasze wiersze

Czy głos zdoła osiągnąć jesiennej północy echem niecichnącym
Przykryć nasze porozsypywane kości ----
Jesień nadchodzi.
Bez krzty litości czy ciepła: jesień nadchodzi.

VIII 1978

Matka na białym tygrysie przemierza ocean

Matka wpatrzona w wielkość
Na białym tygrysie przemierza ocean

Na brzegu jest pięć komnat
I łóżę boleści w ojczyźnie

Matka wpatrzona w kontury ojczyzny
Na białym tygrysie przemierza ocean

Dźwigają się na nogi schorowani synowie
Otwierają drzwi razi ich krwawe słońce

Matka wpatrzona w słońce
Na białym tygrysie przemierza ocean

Służka po prawej to życie
Służka po lewej to śmierć

Matka wpatrzona w śmierć
Na białym tygrysie przemierza ocean

1986

Opowieść o łabędziu

Nocą posłyszałem przelatujące nad mostem stado łabędzi
Moje wewnętrzne rzeki odbiły echem
Trzepot ich skrzydeł

Kiedy tak lecą nad ziemią moich narodzin, ziemią zmierzchu
Ktoś rani jednego z łabędzi
I tylko jeden jedyny wiatr wie
O jego krzywdzie. Łabędź nie przerywa lotu

Ciążą mi moje wewnętrzne rzeki
Ciążą jak skrzydła domowych drzwi
Kiedy łabędzie przelatują nad kładką
Nie mogę podjąć ich dostojnego lotu

Teraz lecą jak śnieżna zamieć nad cmentarzem
Nie ma przez ten śnieg wytyczonej ścieżki do drzwi mego domu
– i ciało nie ma drzwi – ma tylko palce
Zatknięte na mogiłach jak słupy zamarzniętych świec
Na mojej ziemi
Na ziemi moich narodzin
Raniono łabędzia
Głosi gminna pieśń.

Wrzesień

Step na którym konali bogowie porósł dzikim kwiatem
Dalekość w dali wicherze dalekością dal przewyższa
Moje skrzypce płaczą bez łez
Dalekość dali zwracam stepom
Kawałek drewna kępka końskiego włosia
Moje skrzypce płaczą bez łez

Tylko w śmierci może dal się zrosnąć dzikim kwiatem
Księżyc jak lustro zawieszony nad stepem w którym przeglądają się tysiąclecia
Moje skrzypce płaczą bez łez
Popędzając konia sam jeden mknę przez step

1986

Sonet: róża

Róża a ciało pszczołą
Różany ogród włosy jak noc z czerni
Okryły wschodzące białym śniegiem piersi

Drzwi śniegu za drzwiami śniegu pod śniegiem dwa zagrzebane kielichy
Okna śniegu a w oknach śniegu wazony róż jak dwa ogniste języki
Albo jak dwie świece... ekstatyczne w ciągłym samospalaniu
W podzwaniających dwóch czarach... wino ekstazy po łycku popijane

I poczułem jesienią twoje piersi twoją słodycz
Jak ogień lata jak wiosenny wiatr co mi się na piersi położył
Jak roje słonecznych pszczół nad lepkiem winem nocy
Jak perskie ogrody róż gdzie dusza się w niebo sączy

Ciało zaś na wieki musi pozostać w Sziraz
W tysiącletnim teraz
Róża a twoje ciało pszczołą

Dla boddhisattwy na mojej szyi

Oddychaj, oddychaj
Jesteśmy jak dwie buteleczki wrzątku
złączone obłokiem pary
ustawione przez boddhisattwę razem

Święta Kobieta Wschodu
chętnie służy
pomocą
Na jedno życie jeden raz

Dobre i to, wystarczy
Dzięki niej
A także dzięki sobie
Obiema dłońmi dotknąć mogę ciebie, musnąć twój

oddech

Między moimi wargami
drżą dwa lekko rozchybotane czerwone żagle

Święta wie
Święta mieszka w bambusowych lasach
I wszystko wszystko wie
Wie o dzisiejszym wieczorze
Wie o moim kochaniu
Zna tajemnicę morskiej wody
Która jestem ja osiadający kroplami na łukach twoich brwi
Zna obraz ciebie oddychającej na mojej piersi

Święta jest bardzo przychylna
W sercu wielką przychylność chowa
Że pozwoliła mi się urodzić
A teraz na ciele dojrzałym
Pozwala mi rozwiesić wilgotną ciebie

Kwiecień 1985

Nietzsche, ty sprawiasz, że myślę wracam w gorącą tropikalną strefę

Na glinianym dzbanie
Widnieje ryba
Ja mieszkam na rybiej głowie
Ty na ogonie.
Ja w skutym lodem świecie w karczmie oddaję się religii
Przemarznięty do czerwoności
Ty z włosom rozwianym, przepętniony pożądaniem, obłądny

Tragiczne tropiki
Południowe wyspy
Węże moich snów

Ty wstąpiłeś na ścieżkę żołnierską
Przypłacając swój wybór więzieniem w obozie
To drzwi do szaleństwa tej wspaniałej dekady
Kątem oka obserwujesz niebiańskich poetów opiewających kwiaty gruszy
Jak człowiek pierwotny co dobiwszy targu o żonę
W snach całą sól na wyspie usypuje w stos

W kroplach wody tysiące piersi
Wyśpiewuję swój żywot
Tropiki
To mój stan ducha

Tak królewska córka
Córka jaszczurek i kangurów baraszkujących w dolinie
Ze mną kolejnym od jaskółczego śpiewu oszalałym poetą
Mieszka w jednej muszli

Moim czuciem porywam do tańca stada węży obejmuję za szyję orła śmierci
Tropikalne tragiczne niewiasty
Płomienie sezonów i wieków
Wy wszystkie w piętnastej wiośnie wracacie dusze niebu

W kroplach wody tysiące piersi
Powracają w nieistniejące tropiki
Zagubiony antyczny myśliwy
Wiesza się na górskim szczycie.

Wiosna, dziesięciu Hai Zi*

Wiosna, wszystkich dziesięciu Hai Zi zmartwychwstało
W blasku poranka
Wyśmiewają tego dzikiego i smutnego Hai Zi
Po co ci tyle snu?

Wiosna, dziesięciu Hai Zi wyjąć potężnie złowrogo
Wokół ciebie i mnie tańczy i śpiewa
Targając cię za włosy, dosiadają ciebie, nad ziemią unosi się pył
Ból który ci zadają ćwiartując ciało wypełnia cały świat

Wiosna, dziki i smutny Hai Zi
Został sam jeden, ostatni
Dziecko czarnej nocy, dryfujący ku zimie, kochający śmierć
Nie może się uwolnić, ubóstwia pustą i zimną ojczyznę

Tam wysoki stos zboża przysłania moje okna
Połowa na wykarmienie sześciuosobowej rodziny
Połowa na zasiew, na jakąś własną uprawę

Wiatr dmie ze wschodu na zachód, z północy na południe, ślepy na noc i dzień
Te jutrzienki, o których mówiłeś, cóż znaczą?

14.03.1989, 3:00-4:00 przed świtem

** Pseudonim Hai Zi (海子) oznacza dosłownie „jezioro” lub też „syn morza”. Słowo to jest jednakże wymawiane niemal tak samo jak chińskie słowo „dziecko” (孩子), w związku z czym w wersji oryginalnej wiele znaczeń wiersza z takiej swobodnej gry homofonią właśnie można zbudować, co jest chyba nieprzetłumaczalne...*

Wizyta w Oświęcimiu

Yi Ping w przekładzie Joanny Krenz

Przez całą wiosnę była brzydka pogoda, najpierw padał śnieg, potem deszcz, wszędzie błoto. Tak aż do Wielkanocy. Temu świętu towarzyszą okołotygodniowe wakacje, toteż Xiao Zhou zaproponował: „Wyjedźmy gdzieś”.

Zależało mu, żeby wybrać się do Oświęcimia. Ja też bardzo chciałem pojechać, ale jednocześnie czułem wewnętrzny niepokój. Bo po co właściwie się tam udawać? Po to, by pozwedzać? Odebrać lekcję? To wszystko bez sensu. A jednak zdecydowałem się. Zdaje się, że Chińczykom nie wystarczają własne doświadczenia, „trzeba nam bardziej efektownego nieszczęścia, by rozjątrzyć nasze rany”. Jestem przekonany, że odpowiedzialny jest za to kompleks ofiary. Czy z Xiao Zhou jest tak samo? Jest ode mnie młodszy o piętnaście lat.

Niebo było pochmurne, kropelki zimnego deszczu wirowały w powietrzu. Siedząc w pociągu, patrząc na zmokniętą, przygnębianą ziemię, na melancholijnie kołyszące się brzozy, myślałem o tym stuleciu i jego poetach. Pośród tej bezbrzeżnej melancholii,

drzewa te były jak pieg światła na czole ziemi, piękne i smutne. Jak los, jak nieusuwalny ślad, który przydaje jej jeszcze powagi. Pociąg wyruszał o północy. Teraz powoli świta. Mój towarzysz jeszcze śpi.

Najpierw docieramy do Krakowa – znanego wschodnioeuropejskiego miasta o długiej historii. Drobną deszcz i mgła przeszywają dumnie stojące kościoły, Zamek Królewski, uliczki Rynku. Zabytkowe, niszczone budowle w kryształach mgły wyglądają tym dostojniej, tym bardziej tajemniczo. To jest miasto rzeźbione przez czas, przywodzące na myśl zwoje świętych ksiąg. Jest przeszłością, nie ma przyszłości. Jego ponura architektura przypomina dawnych mnichów, zdaje mi się, że słyszę szuranie ich czarnych szat.

Do Oświęcimia jest stąd kilkadziesiąt kilometrów. Tu mamy przesiadkę. Już bliutko. Ironia, drwina? Cień wieży Kościoła Mariackiego łączy dwa przeciwne bieguny? Niemilkący od setek lat ton dzwonów – czy się nie zmieni zmieszany z łkaniem? A może już się zmienił i tylko nasze uszy nie są w stanie wysłyszeć nowych brzmień?

„Oświęcim”, w tym słowie streszcza się terror, skupiają się zastępy dusz, które nie zasłużyły na śmierć. Gdyby to słowo otworzyć, jak epidemia, rozprzestrzeniłoby się po świecie. Język ma duszę. Owo maleńkie miasteczko zasłynęło tym jednym zdarzeniem. Współczuję ludziom, którzy tu mieszkają, pogrążeni w atmosferze strachu. Nawiązując do chińskiej frazy, rzec można, że ciężko tu od ciemności i duchów. A może to tylko językowe wrażenie, a rzeczywistość jest zgoła odmienna. Abstrahując od nazwy, przecież samo miasteczko niczym się nie różni od innych miast. Dzielnice niestare i nienowe, wysokie kościoły, jeden czy dwa zabytki z wyrytymi pamiątkowymi napisami. Starsi ludzie są spokojni, spacerują wolnym krokiem, młodzi wciąż zabiegani. Wisła płynie leniwie, rozpościerając się na jej brzegach łąki i lasy zamazują się w kroplach drobnego deszczu, jaskrawa zieleń uświadamia mi, że jest przecież wiosna. Wiosna, wiosna, na pewno wiosna? Przypomina mi się też, że pojutrze Wielkanoc, dzień Zmartwychwstania Jezusa. Grupka dzieci na mostku łowi ryby, ich jasne czupryny czocho wiatr. Pierwiosniki rozkwitają jak płomienie. Życie toczy się dalej.

Historia Oświęcimia jest dobrze znana. Właściwie nie trzeba by opowiadać.

Jest o wiele mniejszy niż sobie wyobrażałem, o wiele zwyczajniejszy. Językowy przekaz tak często odległy jest od rzeczywistości. Język zdaje się potęgować fantazję – a ta fantazja jest piekłem, albo może niebem. Obóz w Brzezince zajmuje około ćwierć kilometra kwadratowego, znajduje się w nim jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt baraków – wiele z nich doszczętnie już zniszczonych, tak, że zostały się tylko fundamenty. Przekalkulowałem, że może się tu jednocześnie pomieścić od dwudziestu do czterdziestu tysięcy osób. Część znajdująca się wewnątrz miasta jest jeszcze mniejsza, jeszcze bardziej przypomina więzienie. Obejrzałem już wszystkie najtragiczniejsze

zakątki. Przed przyjazdem zerknąłem do kilku encyklopedii, pod hasłem Oświęcim odnajdywałem w nich różne liczby: pięć i pół miliona, cztery miliony... Kto wie, może te statystyki są zawyżone, wojenny czas i tutejsza przestrzeń mają dość ograniczoną pojemność. Niedawno (w 1994 roku) natrafiłem na materiały dotyczące badań pewnego francuskiego historyka, który szacował, że Oświęcim pochłonął około ośmiuset tysięcy ofiar. Niewykluczone, że te dane są bliższe prawdy. Nie jestem historykiem i nie do mnie należy rozstrzygnięcie kwestii oświęcimskiej. Sądzę wszakże, że swój status tak zwany „Oświęcim” zawdzięcza panującemu instynktowi wyimaginowanego strachu i politycznemu zapotrzebowaniu; choć oczywiście nie zamierzam podważać prawdziwości tych zdarzeń. Tak, wszystko to miało tu miejsce. Ludzkie okrucieństwo gorsze jest nie tylko od zwierzęcej zaciekłości, ale od samego szatana. Istnieje dla nas zło niewyobrażalne, ale nie niewykonalne. W krwawych dziejach ludzkości Oświęcim wcale nie jest przypadkiem wyjątkowym. Jest charakterystycznym obrazem tamtego momentu dziejowego. Ale do milionów podobnych zbrodni dochodzi przecież w każdym czasie i w każdym miejscu, tyle że są one rozproszone po wszystkich obszarach, na których rozsiani są ludzie, a nie skoncentrowane w jednym punkcie. Albo też przyjmują inne formy, przyozdobione wielkimi słowami.

Nie wiem, czy w przeszłości w Oświęcimiu gościli jacyś Chińczycy. W księdze pamiątkowej nie znalazłem żadnego chińskiego imienia. Jeśli tu byli, co czuli? Przestało padać. Szeroki pas ziemi Brzezinki spowija mroczny chłód, niewyraźne słońce zza chmur rzuca promień światła. Wychodząc z jednego baraku, wchodzi się do drugiego... Te drewniane łóżka, te ściany są mi już skądś znane... Doprawdy, przebywając tu, nie potrafię przeniknąć losów Europejczyków, dużo więcej rozmyślałam o chińskich traumach. Między 1966 a 1976 rokiem dola przeciętnego Chińczyka, jak sądzę, nie była lepsza od doli ofiar tego miejsca.

Metalowe siatki, posterunki, stalowe tory prowadzące w przedsionek serca obozu. Poszukuję drobnych szczegółów, może te maleńkie detale, które się tu zachowały, lepiej oddają charakter zdarzeń. Używane przez więźniów drewniane taczki, łopaty, plany ucieczki kreślone na ścianach, ornament wydlubany szczoteczka do zębów, niezliczone imiona wyryte na ceglanych murach i drewnianych belkach. Zostawili po sobie tylko imiona, a sami – gdzie są? Świadomie lub nie, pozostawili własne imiona kolejnym pokoleniom, tylko tyle mogli tutaj dla siebie zrobić. Z uwagą czytam litery, tak wyraźne, jakby to oni sami stali przede mną.

Część wewnętrznego obozu przekształcono w muzeum. Wiele tu przedmiotów i fotografii przykuwających uwagę zwiedzających. Nie jestem w stanie opisać tego wszystkiego. Chciałbym, by w moim języku pozostało trochę ciepła, by się nie stał tylko kolejną formą przemocy i krzywdy.

Myślę sobie, że w tu właśnie runęła europejska cywilizacja, grzebiąc wiarę w człowieka.

Dwie wojny odsłoniły zło tkwiące w ludzkiej naturze. To nie Niemcy, Rosjanie, Żydzi, to... ludzie. Dopóki „człowiek” leży tu obnażony, potrząskany, wiary człowieka w „człowieka” też nie sposób poskładać, nic się nie da nadrobić.

Ludzie powinni mieć jakieś wartości. Wszelkie nurty, filozofie, przyszłość, wielcy geniusze i wielkie cele nie mogą się bez nich obyć. I nie są to wcale wartości nadzwyczajne, w chrześcijańskich katechizmach, w konfucjańskich księgach, w buddyjskich i islamskich świętych pismach, dawno już zostały wyłożone. Wzajemny szacunek, zaufanie i dobroć. „Bóg umarł”, więc teraz autorytety i prądy wytyczają ścieżki przyszłości. I może nie byłoby w tym nic w tym złego, gdyby nie fakt, że te koncepcje, które postawiły sobie za cel unicestwienie „człowieczych” wartości, zaczęły zagrażać całej cywilizacji. To morał z tego stulecia. Czyż nie tak doszło do Oświęcimia?

Jest takie zdjęcie, o którym rzadko się pisze. Uwieczniona jest na nim grupka koncertujących więźniów ubranych w wojskowe mundury, otaczają ich towarzysze i niemieccy żołnierze. Jakby zawarli przymierze. Grają Mozarta czy Straussa? Ten obraz wywołuje we mnie przygnębienie. Takie sytuacje – czy powinny mieć miejsce? Zbezczeszczenie muzyki i poniżenie muzyków. Ani dla muzyki, ani dla muzyków, żadnej w tym chluby. Pamiętam scenę z „Archipelagu Gułag”, w której dwóch młodych polskich pianistów na cztery ręce odpiera swój los. To już nie jest muzyka, to najdalsza granica muzyki. Nie chcę stawiać wymagań, nie chcę krytykować, chcę tylko powiedzieć, że musimy postawić sprawę jasno: odróżnić hańbę od dumy, zwrócić uwagę, gdzie lokujemy swój entuzjazm. Pośród tego ogólnego chaosu wiele można zrozumieć, wiele wybaczyć. Ale zawsze i wszędzie, niezależnie od tego, jak skrajne wyznaje się zasady, w jak wielkiej chodzi się chwale, istnieje jedna wartość, z której okradać człowieka nie wolno, której nie wolno postawić na głowie: jest nią ludzka godność.

Po południu znów popaduje deszcz, północny wiatr zmienia kierunek kropel wody i mieszających się z nimi płatków śniegu. Nieprzyjemny chłód przeszywa skórę, sprawia, że człowiek się wycofuje, izoluje. Faluje na wietrze kilka żydowskich chorągwi. Na jej białym tle umieszczonych jest kilkadziesiąt błękitnych skośnych pasków, a w rogach czerwone serduszka wielkości ziarenka. Przyszło mi do głowy zdanie: „Serca Żydów są poza ich ciałami”. Pośród tej cmentarnej ciszy, zdają się takie jasne, takie czyste, jak serca dzieci. Sprawiają, że dostrzegam niebo – jakby same były tym niebem. Dzięki nim doznaję ulgi i pociechy, przeczuwam rysującą się w oddali nadzieję. Tak, trzeba nam tej czystości – tylko w ten sposób możemy na powrót ożywić „człowieka”. Żydzi to naród, który przeszedł wiele, ale zachował bijące w piersiach czyste serce. Wolno im w takich miejscach stawiać takie flagi. Moja pamięć przywołuje flagę izraelską z czystą, sześcioramienną gwiazdą, młodych Żydów, którzy tu przybywają, by złożyć kwiaty, zapalić świeczkę, zapłakać. Nie mnie oceniać i streszczać ich dzieje, ale pod tym względem niezmiernie ich szanuję, za tę pamięć i kultywowanie własnej cywilizacji.

Kilka miesięcy później telewizja transmituje warszawskie uroczystości upamiętniające Zagładę. Jest tam pewien żydowski muzyk, w pieśni przypominającej hymn opiewa cierpienia swego narodu. Z zamkniętymi oczami, jak ślepiec, ławym, łagodnie się wznoszącym i opadającym tonem, w którym pobrzmiwa bliskowschodnia historia, siła i mądrość Biblii. Czuję, jakby ten dźwięk, przepływając i wijąc się łagodnie, wymazywał granice państw, pokrywał całą ziemię. Tylko taka pieśń i takie łzy, mogą przynieść ludziom ulgę w cierpieniu. Dobrany przez znanego polskiego muzyka Krzysztofa Pendereckiego akompaniament wstrząsa ciemnością nocy, wybucha w świetle ognia.

Żydzi, Polacy – dwa udręczone narody. Pod wieloma względami reprezentują losy i nieszczęścia wszystkich doświadczających upokorzeń. Dlatego też poznali wartość i wagę ludzkiej godności, szacunku do siebie samego i tego uporów, który każe przeciwstawiać się tyranii i trwać w sprawiedliwości i prawdzie. W ich tragicznych dziejach podtrzymywał ich ten właśnie duch. Krew i łzy wsiąkały w ziemię i wnikały w ciała, stając się pokarmem dla narodowego serca i wiary. Cierpienie jest ich historią i ich tragedią, szanują je tak, jak szanują swoje świątynie i pisma. W pewnym sensie ludzkie trwanie jest trwaniem pamięci, zależy od harmonijnego przekazywania dziedzictwa, na wzór dziedziczenia w naturze. Polacy i Żydzi przez długi czas nie mieli ojczyzny, ich ojczyzną były pamięć i język, dzięki nim przetrwali. Korzenie ich egzystencji nie wrastają w tę ziemię, lecz w głąb doświadczenia, sięgają serc tym doświadczeniem wykarmionych. W Oświęcimiu można odczuć ten ich szacunek do własnych tragicznych dziejów i upór, z jakim kultywują narodową pamięć. Ich poczucie godności, ich wiara w sprawiedliwość sięgają i tu. Tak, oni będą pamiętać wiecznie.

W telewizji pokazywano kiedyś taki film: pewien aktor komediowy, w sytuacji historycznej zupełnie jego samego nie dotyczącej, postanowił pomóc grupce żydowskich dzieci, by ostatecznie zostać razem z nimi wysłany do Oświęcimia. Na końcowej stacji stanął na platformie wagonu i zaczął odgrywać zabawne scenki, ludzie – transportowani więźniowie i sami transportujący – tłoczyli się wokół w ciszy. Bo w tym jego komizmie, w żartobliwej zabawie odbijał się obraz okrucieństwa i bezwstydu. Widzowie najpierw się śmieją, ale po chwili uśmiech zamienia się w milczenie i łzy. To scena jak z Chaplinowskich „Świąteł wielkiego miasta”. Artysta posługuje się śmiechem, żeby wyrazić milczenie łez, a my narodowe dramaty zamieniamy w ulotne komedie. Nie może to nas, Chińczyków, nie napawać przestraszeniem. Odnoszę wrażenie, że nasz naród nie zachował w sobie już żadnego dostojeństwa, żadnej godności, zamienił się w wielkie cielsko, pozbawione wszakże szkieletu, mózgu, organów wewnętrznych, ale wciąż wydające z siebie śmiech. Wdzięczny jestem Oświęcimowi, że mi to uświadomił.

Opuściwszy Oświęcim, zatrzymuję się w jednym z południowopolskich miasteczek. Jutro Wielkanoc. Jutro Wielkanoc. Te słowa z całą siłą rozbrzmiewają w moim umyśle. Nie jestem tylko pewien, czy to Oświęcim jest szyderstwem wymierzonym w Chrystusowe Zmartwychwstanie, czy też może Zmartwychwstanie Jezusa ma być dla Oświęcimia

wybawieniem. Nie wiem, co należy wymienić w pierwszej kolejności. Wieczorem udałem się do kościoła. Miasto maleńkie, ale świątynia wiekowa, potężna. Jaskrawe światło, mnóstwo ludzi, wszyscy trzymają w dłoniach płonące świece, nawa aż drży od dźwięku hymnów, melodia organów i wtórujący im chóralny śpiew niosą się echem w mrokach nocy. „Jezu, nasz Panie, Ty jesteś Miłością, Drogą i Światłem”... Wszyscy obecni klękają na oba kolana, piękne kobiety, młodzi studenci, dorośli, starcy, dzieci... Zgromadzeni wokół umęczonego ciała Chrystusa, wznoszą nad głowy świece, niektórzy płaczą. Ksiądz każdego kropi wodą święconą, rozdaje Komunię Świętą. Bogato zdobione insygnia, kapłan bierze do rąk naczynia liturgiczne, zapala kadzidło, zaczyna się procesja.

Stoję w kącie na górze, spokojnie obserwuję. Często podczas takich ceremonii lubię analizować w myślach postawy ludzi uczestniczących w rytuałach, ich psychologię, podświadome zachowania. Ale nie dziś. Muszę ich uszanować, uznać sakralny charakter obrzędu. Zazdroszczę im.

Po wyjściu z kościoła stoję sam pośród nocy, wszędzie zamęt, nawet noc jest zmacona. Uczestnicy procesji, śpiewając hymny, trzymając chorągwie, wznosząc świece, zmierzają w innym kierunku. Tu, tam – jakże daleko sięgają wzajemne różnice. Ale w tę samą noc – należą przecież chyba do tego samego świata...?

1993-1994 w Poznaniu



OŚRODEK
SPRAW
AZJATYCKICH

RAPORTY OPINIE DORADZTWO

PIERWSZY W POLSCE UNIWERSYTECKI
THINK-TANK

DORADZTWO POLITYCZNE I BIZNESOWE

ZESPÓŁ Z PRAKTYKĄ W AZJI

www.osa.uni.lodz.pl

